

**Szkoła Podstawowa nr 48 im. Adama  
Próchnika w Warszawie**

**MIĘDZYSZKOLNY KONKURS  
LITERACKI I PLASTYCZNY  
„JA – ZWIERZĘ”**

**Warszawa 2022**

**Wydawca:**

Szkoła Podstawowa nr 48 im. Adama Próchnika  
ul. Stefanii Sempołowskiej 4  
00-574 Warszawa

**Wstęp:**

*Krystyna Inowolska*

**Korekta:**

*Katarzyna Niedźwiecka*

**Opracowanie techniczne:**

*Monika Bednarska*

Tym razem zadanie było naprawdę trudne.

W świecie, gdzie reklamy codziennie pokazują szczęśliwe dzieci objadające się kabanosami, trudno mówić prawdę o cierpieniu zwierząt hodowlanych, pogoni za zyskiem, degradacji środowiska. A to wszystko znalazło się w Waszych pracach.

Mam nadzieję, że nie zapomnicie o dzisiejszej wrażliwości i, gdy będziecie dorośli, zmienicie obraz świata.

Cieszę się również, że wiecie, że każde zwierzę trzeba obserwować, poznać jego zwyczaje i cieszyć się jego szczęściem.

Krystyna Inowolska

Przypomnijmy temat:

Pomyślmy...

Wiem, że temat jest bardzo szeroki. Ale o to mi chodzi.

Jak zwykle mamy się zastanowić nad losem zwierząt. W pierwszym temacie bohaterami Waszych prac mogą być Wasi domowi przyjaciele. Opowiedzcie o tym, jak się poznawaliście, jak się uczyliście siebie nawzajem. Tym razem piszecie Wy, nie zwierzęta.

Ale nie wszystkie zwierzęta traktujemy jak przyjaciół. O tym będzie drugi temat – trudny i smutny. Opowiem Wam historię z życia:

Ojciec i syn szli na spacer. Obok nich przejechała ciężarówka, z której słychać było ryk stłoczonych zwierząt. Syn zapytał: „Tato, co to jest?”. Ojciec odpowiedział: „Mięso jedzie”.

Przedstawcie los zwierząt hodowlanych lub podejmijcie walkę z okrucieństwem spowodowanym żądzą zysku, ślepą na cierpienie innych stworzeń. Przekonajcie innych, że zwierzę to nie mięso.

# **I miejsce**

## **Aleksandra Zabłocka**

Spółeczna Szkoła Podstawowa nr 10 STO  
Warszawa

### ***W obronie zwierząt - przemówienie***

Drogie Koleżanki, drodzy Koledzy!

Jest taka historia, której bohaterami może być każdy z nas. „Ojciec i syn szli na spacer. Obok nich przejechała ciężarówka, z której słychać było ryk stłoczonych zwierząt. Syn zapytał: „Tato, co to jest?”. Ojciec odpowiedział: „Mięso jedzie”. W tym miejscu każdy z nas westchnie, a potem ze spokojem i bez większych wyrzutów sumienia zje kanapkę z bekonem...

Powiem Wam, że ja sama widziałam kiedyś taki samochód na autostradzie. To była wielka ciężarówka przepelniona świniami jadącymi do ubojni. Było ich tak dużo, a pojazd jechał tak szybko, że gdyby ktoś spojrział z daleka, mógłby pomyśleć, że w środku są nie żywe istoty, tylko wielkie pluszowe maskotki, które wpadają na siebie i odbijają jedna od drugiej. Niektóre ze świń próbowały zaczerpnąć oddechu, wystawiając nosy, żeby złapać choć trochę tlenu. Ile z nich już wtedy było martwych, bo się udusiły bądź zostały zdeptane przez inne – tego nie wiem. Ale wiem na pewno, że tam, dokąd zmierzały, nie czekał ich dobry los...

W tym miejscu moglibyśmy postawić kropkę, ale lepiej cofnijmy się w czasie. Niecałe sto lat temu ludzie jedli mięso tylko na specjalne okazje, a najbiedniejsi parę razy w roku. Zwierzęta były hodowane na wsiach przez ludzi, którzy posiadali wiedzę na temat hodowli i dobrze je traktowali. Obcując z nimi na co dzień, zdawali sobie sprawę, że zwierzęta czują i mają własny rozum. Teraz, gdy jedziemy na wieś, słyszymy nie raz, nie dwa, jak starsi ludzie mówią z sentymentem o krowach, świniami, kurczakach... Mówią tak, bo teraz nie ma praktycznie zwierząt na wsi, bo hodowanie ich kompletnie się nie opłaca. A jeśli ktoś już trzyma zwierzęta, to tylko dlatego, że szkoda mu ich oddać do ubojni. Nie jest to także opłacalne, bo dziennie zabijane i przetwarzane są

miliony zwierząt. Gdyby miało się opłacać, musiałoby być to robione na masową skalę, a przeciętny człowiek nie jest w stanie tego zrobić. Zwierzęta hodowlane rodzą się i umierają o każdej godzinie w ciasnych halach. Bez światła i bez szansy na życie. Mięso stało się produktem masowym tak jak batony czy makaron. Nie wiem, czy zdajecie sobie sprawę, że jego jakość tego mięsa jest przerażająca i może być źródłem chorób. Z raportu Najwyższej Izby Kontroli z tego roku wypływa wniosek, że w większości mięsa znajdują się bakterie salmonelli, bo nikt go nie bada. Drugi problemem jest to, że zwierzęta są karmione ogromną ilością antybiotyków, z czego sporo zakazanych jest w Unii Europejskiej. Z raportu wynika także, że zwierzęta są przetrzymywane w tragicznych warunkach i karmione są okropną paszą.

W tym miejscu proszę Was, abyście w zastanowili się na losom zwierząt. Pomyślcie, czy chcecie przyczynić się do ich dramatu tylko po to, by zjeść kanapkę z bekonem...

## **I miejsce**

### **Monika Bąk**

Szkoła Podstawowa nr 340 im. Bogusława Molskiego  
Warszawa

### ***Weganizm - od refleksji do działania, czyli kartka z mojego przyszłego pamiętnika***

Zawsze, gdy myślę o rzezi zwierząt, czuję ból, zupełnie jakby ten proceder dotykał mnie samej. Nie rozumiem idei zabijania niewinnych istot tylko po to, by zamienić je w jedzenie dla człowieka. Przecież bez mięsa ludzkie życie nie zmieniłoby się na gorsze. Wręcz przeciwnie - wegetarianizm poszerzyłby globalną świadomość.

Gdy byłam młodsza, nie zdawałam sobie sprawy, w jaki sposób powstają kotlety schabowe albo mój ulubiony babciny pasztet. Nie wyobrażałam sobie życia bez mięsa. Wszystko się zmieniło, gdy zaczęłam zgłębiać tematy związane z wegetarianizmem, gdyż zaintrygowały mnie pojawiające się

w sklepach zamienniki mleka krowiego, bezmięsne szynki, a nawet żelki bez białka z kości i chrząstek zwierząt. Było dla mnie zupełnie nowym i niezrozumiałym, że zaczęto produkować artykuły niepochodzące od zwierząt, dostępne w każdym małym osiedlowym sklepie.

Przez dwadzieścia pięć lat mojego życia mięso było niezmienną częścią niedzielnego obiadu. Rodzice mówili, że doda mi energii, więc bez większego marudzenia zjadałam kotlet, w którym często znajdowałam nieodkrojone żyłki lub ścięgna zniechęcające mnie do spożywania tej części posiłku. Sprawę utrudniała dalsza rodzina, ponieważ moja ciocia prowadzi sklep mięsny, który cieszy się dużą popularnością i wierną klientelą. Z jednej strony to ciągle zabijanie zwierząt dla jedzenia, ale z drugiej strony wiemy przynajmniej, skąd pochodzi i czy na pewno jest świeże. Czasy dzieciństwa były takie beztrudne i w tamtych latach jeszcze tak mało wiedziałam o życiu.

Nie pomyślałabym wtedy, że będę kiedyś weganą. I to od pięciu lat. Moje życie zmieniło się diametralnie. Gdy studiowałam dietetykę, dowiedziałam się, co dokładnie mam jeść, by zastąpić białko występujące w mięsie. Przyzwyczaiałam się do takiego trybu życia. Chodzę na siłownię, odżywiam się zdrowo i posiadam figurę, o której zawsze marzyłam.

Niedawno razem z chłopakiem wybraliśmy się samochodem do mojej babci, która mieszka czterdzieści kilometrów od Warszawy. Miałam bardzo dobry humor. Gdy zatrzymaliśmy się na stacji benzynowej, by zatankować oraz odpocząć, stanęła koło nas ciężarówka pełna świń, które wydawały dziwne dźwięki. Adam, który już od ponad dwóch lat jest weterynarzem, zmartwił się, bo przypominało to prędzej skowyt aniżeli radosne pochrumkiwanie. W tamtym momencie czułam, że za chwilę zemdleję. Chciałam zrozumieć logikę osób pracujących jako kierowcy takich pojazdów albo rzeźników, ale nie byłam w stanie. Miałam już podejść do mężczyzny i powiedzieć mu, co o takim zawodzie myślę.

Znajdowałam się już kilka metrów od ciężarówki, jednak człowiek ten rozmawiał właśnie ze swoją żoną, która opiekowała się ich chorym dzieckiem. Pomyślałam wtedy, że on też może nie popierać takich działań, ale musi mieć pieniądze na leki, które

uratuja jego mały skarb. Zmieszana wróciłam do samochodu i ze łzami w oczach przysięgłam sobie, że pomogę tym cierpiącym zwierzętom. To był dla mnie punkt zwrotny, w którym postanowiłam, że przekuję swoje idee w czyn.

Po tygodniu zapisałam się do organizacji chroniącej prawa zwierząt. Przywitano mnie bardzo miło i od razu powiedziano, czym będę się zajmowała. Miałam doradzać, jakie pożywienie warto kupować, i krótko to opisywać, ponieważ byłam wykwalifikowanym dietetykiem, a ze zwierzęcym jedzeniem spotykałam się na co dzień. Odnalazłam się w tej pracy. W późniejszych latach prowadziłam warsztaty dla dzieci z całej Polski. W ich trakcie prezentowałam młodym ludziom zdrowsze zamienniki mięsa.

W przyszłości mam zamiar założyć swoją restaurację, która oprócz serwowania pysznych wegańskich burgerów będzie uczyła o szkodliwości, jaką ciągle zabijanie zwierząt wyrządza środowisku.

Ciągle chcę pamiętać, że do wytworzenia mięsa potrzeba aż piętnaście tysięcy litrów wody. Te liczby są naprawdę przerażające. Warto wspomnieć, że do wyprodukowania kilograma chleba potrzeba niemal dziesięciokrotnie mniej wody. To pokazuje, że ograniczenie spożywania mięsa naprawę pomoże naszej planecie dłużej funkcjonować.

Czasem zastanawiam się, na ile moje działania zmieniają rzeczywistość. Podczas jednego z urlopów mijałam miejsce niewinnie nazwane „Fokarium”. Myślałam, że jest to po prostu rezerwat żyjących tam zwierząt. Okazało się jednak, że doskonale bawiący się turyści biją brawo wytresowanym fokom, które składają publiczności ukłony na jeden znak ręki tresera. Wszystko w kolorowych, pseudowesołych nastrojach. Na pokazach obecne były dzieci, które uczą się, że należy się śmiać, gdy zwierzę odgrywa swoją rolę w stworzonym dla uciechy dorosłych cyrku. „Wstydzę się bardzo ja - człowiek” - napisała w „Zwierzętach cyrkowych” Wisława Szymborska. Ja też czułam wstyd względem tych niewinnych istot.

Czy zatem mój weganizm coś znaczy? Na skalę świata - nie. Dla mnie zmienia wszystko. Jest wyrazem moich poglądów,

moim buntem przeciwko głupocie i bezmyślności tego świata. To moje głośne „nie” przeciw okrucieństwu wobec zwierząt.

## **II miejsce**

### **Jan Cisek**

Spółeczna Szkoła Podstawowa nr 10 STO

Warszawa

#### **Sen**

W snach często możemy się spotkać się ze sowimi marzeniami. Wiele dzieci pragnie mieć swoje własne zwierzątko. Całymi nocami śnią o pięknej przyjaźni pomiędzy nimi. Miałem okazję spotkać jedną z takich osób. Postaram się dokładnie oddać jej sen, by inne dzieci, które mają już swego pupila, mogły wziąć z niego przykład.

Lecąc przez ciemność snu, znalazłem się w aucie, jechałem z rodzicami autem do schroniska. Miałem wybrać dla siebie pieska, byłem tak tym podekscytowany, że zapomniałem, że to tylko widzenie senne, tak podekscytowany, że prawie nie słyszałem rodziców szepczących na przednich siedzeniach.

- Nie sądzisz, że Michał jest nieco za młody na własne zwierzątko?  
- spytała mama.

- Wydaje mi się, że jest wystarczająco odpowiedzialny, przecież widzisz, jak się cieszy - odpowiedział tata.

- To, że pragnie mieć pieska, nie oznacza, że będzie gotowy na związane z nim obowiązki - stwierdziła matka.

- Wiem, liczę jednak, że poradzi sobie z nimi, a jak nie, to najwyżej zwrócimy pieska do schroniska - zakończył rozmowę ojciec.

Widać było, że zastanawiają się, czy nie jestem za mały na własne zwierzątko. Myśleli, że chcę go dostać jedynie dlatego, że jestem chwilowo nim zafascynowany. Nie przejmowałem się tym, liczył się dla mnie tylko piesek, którego miałem dostać, przyjaciel, którego serce miałem zdobyć. Wreszcie dojechaliśmy. Wysoki człowiek pokazał mi różne rodzaje czworonogów. Powiedział, żebym się dobrze przyjrzał, bo nie chciałby widzieć ich tu z powrotem. Nie bardzo rozumiałem, dlaczego miałbym mu



przyprowadzić mojego pieska. W każdym razie moją uwagę przyciągnął zwierzaczek, który przez cały mój pobyt patrzył wyłącznie na mnie. Miał brązową sierść, czarne oczy i krótki ogon. Na pierwszy rzut oka widać, że był inteligentnym pieskiem. Prawdopodobnie kundlem, nie znałem żadnej rasy, której mógłby być reprezentantem. Choć nie był szczególnie piękny, wiedziałem, że go wybiorę. Po mojej decyzji rodzice jeszcze trzy razy mnie pytali, czy na pewno chcę wybrać to zwierzątko, a nie inne. Widać nie rozumieli więzi, jaką poczułem razem z pieskiem. Nazwałem go Azor, zawsze chciałem nazwać tak mojego pupila.

Gdy przyjechaliśmy do domu, chciałem się od razu pobawić z moim pieskiem, jednak rodzice mi na to nie pozwolili i powiedzieli, że najpierw muszę zjeść obiad. Kiedy wreszcie mogłem wyjść do Azora, było już ciemno. Nie zniechęciło mnie to jednak, w końcu dla przyjaciela zrobisz wszystko. Wiedziałem, że najpierw musimy się dobrze poznać. Piesek musiał zapoznać się ze swoim nowym opiekunem i miejscem zamieszkania. Nie naciskałem, pozwoliłem, by to Azor wyznaczał granicę. Nie chciałem go do niczego zmuszać, dlatego nasze pierwsze spotkanie wyglądało mniej więcej tak: Siedzieliśmy naprzeciw siebie i wpatrywaliśmy się w siebie. Tak każdego dnia siadaliśmy bliżej, trwało to tygodnie, a ja zacząłem się bać, że może piesek nigdy nie będzie gotowy na bliższe poznanie po ciężkim życiu w schronisku. Rodzice zaczęli mnie już przekonywać, że może lepiej by było, gdybym wybrał sobie już oswojonego pieska. Ja jednak nie chciałem Azora zamienić na żadnego innego zwierzaka. Chciałem, by to dzięki mnie stał się gotowym na przyjaźń

z człowiekiem. Choć nasze spotkania kończyły się jedynie patrzeniem na siebie, wierzyłem, że pewnego dnia piesek przekona się do mnie i pozwoli się pogłaskać.

Gdy wracałem ze szkoły, byłem zrozpaczony, gdyż dostałem słabą ocenę ze sprawdzianu. Piesek musiał chyba wyczuć mój smutek, bo podbiegł do mnie i pozwolił mi się pogłaskać. Po dwóch tygodniach przebywania razem wreszcie pozwolił mi siebie dotknąć. Byłem wielce uradowany i mój smutek przeminął, gdyż wiedziałem, jak ciężko jest zaufać innej osobie. Ja oswoiłem Azora, a on mnie, dzięki temu wytworzyła się

między nami prawdziwa przyjaźń. Od tego czasu mój pupil nie miał już skrupułów co do kontaktu fizycznego. Był to przełomowy moment naszej przyjaźni.

Wiedziałem, że dla wielu ludzi obowiązki związane ze zwierzętami są okropne, a innych zniechęcają do wzięcia czworonoga do siebie. Jednak mnie się one podobały, prawie tak jak zabawa z Azorem. Wychodzenie z nim na spacer, karmienie go czy nawet sprzątanie po nim to okazywanie mu uwagi i pokazywanie, że nam na nim zależy. Poświęcanie komuś uwagi to kolejny fundament prawdziwej przyjaźni. Staralem się zwracać uwagę na jego potrzeby tak jak on na moje. Wiedział, kiedy jestem smutny, i starał się mnie pocieszyć. Poznaliśmy się na tyle, że wiedzieliśmy o sobie wszystko. Staliśmy się najlepszymi przyjaciółmi.

Obudziłem się. Nie, to nie mógł być tylko sen! Pewnie za chwilę przybiegnie do mnie Azor, by się ze mną przywitać. Jednak piesek nie przyszedł, nie zaszczekał na powitanie. Przyszła za to mama, pytając mnie, dlaczego płaczę. Nie potrafiłem jej opowiedzieć o moim śnie, z resztą i tak by nie zrozumiała.

Wychodzę na dwór, słońce świeci przez chmury. Jest sobotnie południe, dlatego na chodnikach można zauważyć wiele osób. Kwitnące drzewa stoją po dwóch stronach traktu, wiem, że okolica, w której mieszkam, jest piękna, jednak nie potrafię docenić krajobrazu, gdy myślę o swoim pupilku, mój smutek pogłębia widok ludzi prowadzących psy krótko na smyczy, jak groźnych przestępców. Ja swojego Azora puszczałem wolno, a i tak szedł przy mnie. Szliśmy jak równi sobie. Czemu ludzie pokazują swoją dominację nad swoim zwierzętami, przecież na tym nie zbudują zdrowej relacji. Spacerując, nie skupiają się na swoim psie, nie mówiąc już o zabawie z nim. Idą z nosem w komórkach, podczas gdy ich pupile domagają się uwagi. Zwierzęta chcą poczuć więź, którą ja poczułem z moim Azorem. Widzę rzeczywistość i żałuję, że nie mogę wrócić do snu.

### **III miejsce**

#### **Zofia Zdanowicz**

Dwujęzyczna Szkoła Podstawowa nr 1 w Warszawie  
Warszawa

#### ***Puste gniazdo***

Pewnej soboty zobaczyłam dużego ptaka. Wyglądał jak gołąb, choć był trochę większy, a w dziobie trzymał małą gałązkę. No i leciał w kierunku naszego domu. Potem zobaczyłam go jeszcze raz i jeszcze raz. Tata się zaniepokoił - "Oj, żeby sobie tylko nie zrobił tutaj gniazda!" Ale było już za późno. Nad drzwiami, nad wejściem na taras, zobaczyliśmy gniazdo. Jak na takiego dużego ptaka, było zadziwiająco małe, raczej niedbale sklecone z kilkunastu gałązek. Ale za to bardzo przemyślane i bezpiecznie ulokowane, mocno schowane wśród winorośli i róży, które oplatały pergolę na tarasie.

W gnieździe bardzo dumnie siedział ptak. Tata sprawdził w Internecie, że to Gołąb grzywacz, jeden z największych przedstawicieli tej rodziny ptaków. Był tak duży, że nie mieścił się cały w swoim dość ubogim gniazdku. Tata znowu sprawdził w Internecie, że ten gatunek właśnie buduje dość niedbale i małe gniazda. Wystawał mu długi ogon, raz z jednej, raz z drugiej strony gniazda. Na nas nie zwracał uwagi wcale. Codziennie rano mama wychodziła na taras z kubkiem kawy i mówiła do niego - "Cześć ptak". A on albo ona – tego tata już nie dał rady sprawdzić w Internecie - tylko łypała na nią swoim ptasim ślepiem.

Ptak stał się naszym domownikiem. Zadziwiło mnie, że jak na zwierzę jednoznacznie kojarzące się z ruchem i wolnością tyle czasu potrafi siedzieć bez ruchu. Pomyślałam wtedy, że jednak ludzie mają trochę lepiej. Może kobietom w ciąży jest czasem niewygodnie, ale za to przez cały czas ciąży mogą coś robić.

Po około trzech tygodniach zauważyłam, że w gnieździe się coś zmieniło. Weszłam na stołek i zobaczyłam małą ptasią główkę. Mamy w domu aparat fotograficzny z dużym obiektywem

i udało mi się zobaczyć troszkę dokładniej. W gnieździe siedziały dwa młode ptaszki. Każdy wielkości małej pięści. Zrozumiałam, że ptak nie zrezygnował z wolności latania. Kierowała nim odpowiedzialność za dzieci. Od tej pory gniazdo często wydawało się puste – choć takie wcale nie było. Duży ptak już nie siedział w nim cały czas, prawdopodobnie ciągle szukał dla małych pożywienia. Raz nawet udało mi się zauważyć, jak przekazuje ptasiemu dziecku jedzenie ze swojego dzioba. Ptasia rodzina zachowywała się dość dyskretnie. Jedyne, co się zmieniło, to pojawiła się duża ilość białego ptasiego łajna pod gniazdem. Ptasia mama musiała niezle karmić swoje małe. Którejś soboty, kiedy siedzieliśmy całą rodziną na tarasie, zobaczyliśmy dwa całkiem duże gołębie, siedzące na belce pergoli. Najwidoczniej nie umiały jeszcze latać, bo tylko spacerowały, śmiesznie przeskakując z belki na belkę. Dzieci dorosły.

A następnego dnia już ich nie było. Niedbale sklecone gniazdo pozostało puste. A One nigdy więcej się u nas nie pokazały. Na początku było mi trochę smutno, bo zdążyłam się przyzwyczać do nowych domowników, ale potem zrozumiałam, że miałam szczęście obserwować z bliska cykl życia. Przyszło mi do głowy, że z ludźmi jest bardzo podobnie. Łączą się w pary, wiją gniazdka, wychowują dzieci, które potem opuszczają dom, i cykl się powtarza. Różni nas chyba tylko to, że my budujemy swoje gniazda nieco solidniej.

### **III miejsce**

#### **Magdalena Reiwer**

Spółeczna Szkoła Podstawowa nr 10  
Warszawa

#### ***Niespodziewany obrót wydarzeń***

Od dawna marzyłam o psie. Codziennie, nieprzerwanie zadawałam to samo pytanie: „Mamo, czy możemy mieć pieska?” Niestety moje działania nie odnosiły oczekiwanego skutku. Mama zawsze miała w rękawie mnóstwo argumentów, które nie przybliżały mnie do realizacji jednego z moich największych marzeń. Najtrudniejszym do zbicia był jeden – często i długo nie

ma nas w domu, pies czułby się samotny. Ale ja nie poddawałam się, bo wierzyłam, że zawsze ale to zawsze na wszystko można znaleźć rozwiązanie.

Pewnego dnia, a była to sobota, obudziłam się dość wcześnie rano. Mojej mamy nie było w domu. Niezbyt często taka sytuacja u nas się zdarza. Zastanowiło mnie to trochę, ale wstałam, poszłam się umyć, zjadłam śniadanie. Czas mi się dłużył niesamowicie. Dzwoniłam do mamy, ale wyglądało na to, że miała wyłączony telefon. W końcu po prawie trzech godzinach usłyszałam odgłos otwieranej bramy. Wyrzałam przez okno i zobaczyłam samochód mamy. Wyszłam na zewnątrz, żeby przywitać się z nią i zapytać, dlaczego jej tak długo nie było. Mama coś jeszcze wyjmowała z samochodu, a przed drzwiami stało duże, kartonowe pudło z licznymi, małymi dziurkami. Pudło jak pudło, ale te dziurki mnie zaintrygowały. Zwłaszcza, że nagle usłyszałam cichutki pisk, który niewątpliwie dobiegał z wnętrza pudła. Bez zastanowienia otworzyłam karton. W rogu leżała mała, biała, futrzasta kuleczka.

- Jejku! Jejku! Mamooo, widziałaś?! - krzyknęłam. Z pudła spoglądała na mnie para wystraszonych, świecących, czarnych jak węgiel oczu. Czarny nosek, a pod nim wystający czubek różowego języczka. Dwoje zabawnych uszu, z których jedno było oklapnięte, a drugie stało wyprostowane jak antena. Białe, gęste i puszyste futerko. Nie mogłam uwierzyć! To naprawdę był piesek! Cieszyłam się jak nigdy w życiu! Jednak wtedy nie wiedziałam jeszcze, że zanim zaprzyjaźnię się z Kofi, będę musiała dużo przejść...

Odkąd w naszym domu pojawiła się Kofi, dużo się zmieniło. Musieliśmy oswoić ją z nowo poznaną rodziną i nowym miejscem, a przede wszystkim zapewnić jej bezpieczny, spokojny i kochający dom. Wzajemnie musieliśmy się poznać. Z początku trudno nam było wejść w codzienność, podporządkowaną potrzebom szczeniaka. Takie małe zwierzątko wymaga mnóstwo czasu i opieki. Przez pierwsze dni Kofi tęskniła bardzo za swoim poprzednim domem, mamą i gromadką rodzeństwa. Ponadto wymagała tego, aby wychodzić z nią co 2-3 godziny na zewnątrz, aby mogła załatwiać swoje potrzeby fizjologiczne poza domem. Czasem niestety zdarzało jej się załatwić w domu – to było

okropne! Trzeba było po niej sprzątać. Pomimo rozłożonych w całym domu gazet i specjalnych mat. Ta czynność, jak się można spodziewać, nie należała do najprzyjemniejszych... Szczeniak na samym początku wymaga też tego, aby częściej dawać mu jeść. Trzeba go przytulać, bawić się z nim i w ogóle musieliśmy poświęcać Kofi bardzo dużo naszego czasu. Nie wiedziałam, że opieka nad pieskiem będzie tak dużym wyzwaniem. Zaangażowana w nią była cała nasza rodzina. Rozpisaliśmy grafik, kto i kiedy daje psu jeść, wychodzi na spacer, idzie z nim do weterynarza na szczepienie czy inną konieczną w młodym wieku pieska kontrolę. Moi rodzice traktowali nowego lokatora jak trzecie dziecko, co chyba trochę oddaliło nas od siebie. Niespodziewanie dla mnie na samym początku zaczęłam być o Kofi leciutko zazdrosna. Do tego wszystkiego przez uziemienie w domu musiałam zrezygnować z przyjemności, które zapewniałam sobie w wolnym czasie. Powoli docierało do mnie, że dołączenie pieska do rodziny to bardzo duża odpowiedzialność i w pewnym sensie rezygnacja z niektórych przyjemności, na które zwyczajnie zaczęło brakować czasu. Wtedy dopiero dotarły do mnie wszystkie argumenty mamy, o których kiedyś mi mówiła.

Minęło pół roku od czasu, kiedy poznałam Kofi, ale nasza więź wciąż nie była mocna. Dalej miałam do niej lekki żal o to, że skradła czas mojej rodziny, który do tej pory poświęcany był tylko nam. Szczęśliwie to uczucie powoli ustępowało. Kofi stała się członkiem naszej rodziny! Bardzo chciałam spędzać z nią coraz więcej czasu. Myślałam o tym, co możemy zrobić, żeby lepiej się poznać i zaufać sobie nawzajem. Wyobrażałam sobie, co teraz czuje Kofi. Czy odczuwa moje emocje, czy tak samo jak mnie trudno jest jej odnaleźć się w tej sytuacji. Czy chce mi zaufać, ale nie potrafi.

Pewnego dnia wróciłam ze szkoły do domu. Nikogo w nim nie było, oprócz Kofi, która w drzwiach przywitała mnie, machając ogonem i skacząc z radości. Muszę przyznać, że ten mały piesek potrafił okazywać swoją radość jak nikt! Przywitałam się z nią, chwilę się pobawiłyśmy, wyprowadziłam ją na spacer. Potem poszłam umyć ręce, odgrzałam sobie obiad. Kofi cały czas mi towarzyszyła. Miałam zadanych sporo lekcji, więc poszłam uczyć się do swojego pokoju, a Kofi została na dole. Nie wiem,

kiedy na dworze zrobiło się ciemno. Nagle z dołu dotarły do mnie jakieś dziwne odgłosy pomieszane ze szczekającym zajadłym psem. Wysłałam z pokoju i krzyknęłam:

- Mamo? Czy to ty? - Nikt nie odpowiedział, ale odgłosy nie umilkły, a wręcz przeciwnie – dobiegł do mnie dźwięk tłuczonego szkła, trzask drzwi i cichutkie skomlenie psa. Byłam tak bardzo wystraszona, cała dygotałam. Ale wiedziałam, że Kofi potrzebuje mojej pomocy. W pośpiechu zbiegłam na dół. Kofi leżała na podłodze, a obok niej były ślady krwi. Było mi ogromnie przykro, chciało mi się płakać. Wiedziałam, że muszę jej jak najszybciej pomóc. Oszłamona złapałam telefon i zadzwoniłam do mamy, która, jak się okazało, była w drodze do domu. Nie opowiadając za wiele, rozłączyłam się, wzięłam Kofi na ręce i w pośpiechu pobiegłam do kliniki weterynaryjnej znajdującej się na drugim końcu ulicy. Oddając Kofi w ręce weterynarza, poczułam, że robi mi się słabo, i... zemdlałam.

Obudziłam się w ramionach mamy. Okazało się, że do naszego domu wkradł się złodziej, a ja byłam tak zajęta swoimi obowiązkami, że nie słyszałam co działo się na dole. Jednak dzięki Kofi, która była w domu, niczego nie zdołał ukraść. Niestety nasz pies ucierpiał - Kofi miała mocno zranioną łapę i musiała przejść operację. Czekałam na nią u weterynarza, nie chciałam wyjść do domu z rodzicami, dopóki nie miałam pewności, że operacja się udała. Kofi spędziła noc w gabinecie lekarskim, skąd zabraliśmy ją następnego dnia. Kiedy ją zobaczyłam, w oczach miałam łzy.

Tamto wydarzenie wiele w naszym życiu zmieniło. Nie wyobrażam sobie teraz nawet jednego dnia bez Kofi - jesteśmy nierozłączne. Kocham ją bardzo i wiem, że ona mnie też. Jestem w stanie zrobić dla niej wszystko, a każda chwila spędzona z dala od Kofi dłuży się w nieskończoność. Uwielbiam się z nią bawić, chodzić na spacer, troszczyć się o nią. W jej oczach widzę, jak bardzo odwzajemnia moje uczucia, widzę jej oddanie i przywiązanie.

Muszę przyznać, że przeszłyśmy długą i wyboistą drogę. Mój początkowy entuzjazm związany z posiadaniem psa ostygł, kiedy przyszły codzienne obowiązki i wyrzeczenia związane z wymagającą opieką nad szczeniakiem. Teraz już wiem, że

przyjęcie do domu zwierzęcia wymaga podjęcia odpowiedzialnej decyzji. Pies, kot, chomik to nie są zabawki, które odstawimy na półkę i o nich zapomnimy. Każde zwierzę przywiązuje się do swojego opiekuna i kocha go bezwarunkowo. To, jak traktujemy zwierzęta, świadczy o nas.

## **II miejsce**

### **Sebastian Zientara**

Szkoła Podstawowa Specjalna nr 167

Warszawa

### ***Pan Pies – mój przyjaciel***

Moim najlepszym przyjacielem jest mój pies Snoopy. Przyszedł do mnie w magiczny sposób. Wróciłem do domu, a on tam już był i czekał na mnie.

Polubiliśmy się. Największa frajda była wtedy, kiedy fretki dołączały do naszych zabaw. Zapomniałem powiedzieć, że w moim domu mieszkały już dwie fretki: Kajko i Kokosz. Kiedy jestem smutny, Snoopy mnie pociesza: wskakuje na mnie i liże mnie po twarzy. Potrafi się przytulać. Mogę mu opowiadać swoje sekrety, a i tak wiem, że tego nigdzie nie wyszczeka. Chodzimy razem na spacer i zagryzamy badyle. Snoopy zawsze cieszy się, jak wracam do domu, nawet kiedy jestem w złym humorze i nie jestem dla niego miły. Czasami razem odwiedzamy Kota Lotka, który mieszka u Babci. Wiem, że muszę się opiekować Snoopym. Czasami Snoopy jest niemądry: zjada rzeczy, których nie powinien, np. sól do zmywarki lub olej. Wtedy ma kłopoty i trzeba mu pomóc: posprzątać po nim, iść do weterynarza.

Nie ma tu zakończenia, bo nasza przyjaźń trwa cały czas.



### III miejsce

#### **Pola Borkowska**

Szkoła Podstawowa nr 307 im. króla Jana III Sobieskiego  
Warszawa

#### ***Lucky i fioletowy wir***

Był piękny, zimowy i słoneczny dzień. Dokładnie 8 marca w Dzień Kobiet z rodzicami pojechałam do Buska Zdroju po mojego wymarzonego psa. Od zawsze marzyłam o przyjacielu, ponieważ jestem jedynaczką. Czułam się strasznie samotna i potrzebowałam bratniej duszy.

Gdy dojechaliliśmy na miejsce, od razu przybiegł do mnie malutki słodki piesek, a za nim jego bracia oraz siostry.

- Dzień dobry – powiedziałam.

- Dzień dobry – odpowiedziała właścicielka zwierząt.

- Możecie wziąć, którego chcecie – rzekła miła pani.

Bez zastanowienia wybrałam pieska, który wciąż gryzł moje nogawki i chodził za mną krok w krok. Bardzo mi się spodobał. Był czarno-kremowy, miał sterczące uszka i był malutki.

W drodze powrotnej wcale mi się nie nudziło. Długo myślałam nad imieniem, aż wymyśliłam – Lucky, czyli szczęściarz.

Po powrocie do domu świetnie się bawiliśmy. Rzuciałam mu kolorową malutką piłeczkę, którą dostałam od dziadków, gdy miałam chyba trzy latka. Luckiemu bardzo podobała się ta zabawa, bo biegał i merdał ogonkiem.

Nadeszła noc. Wszyscy poszliśmy spać. Nagle obudził mnie straszny hałas. Wyjrzałam przez okno i zauważyłam dzieci, które wyglądały przerażająco i dziwnie się zachowywały. Niespodziewanie usłyszałam nieznany mi głos:

- Nie bój się, to tylko dzieci zaczarowane przez złą czarownicę.

W pokoju nikogo nie było, tylko mój mały włochaty przyjaciel.

- Mówisz ludzkim głosem? – wydukałam.

- Tak – odpowiedział Lucky

- Musimy ich ratować! – wykrzyknęłam.

Szybko zjechaliśmy windą na dół, by pomóc dzieciom. Lucky użył swoich magicznych mocy i dzieci znowu zaczęły wyglądać normalnie.

- Łał! – wrzasnęłam podekscytowana. Ty masz magiczne moce?

- Oczywiście, myślałam, że dlatego mnie wzięłaś, bo wiesz, że nie jestem takim zwykłym pieskiem – odpowiedział Lucky.

- Nie, nie miałam o tym pojęcia – odpowiedziałam zupełnie serio.

Bardzo się ucieszyłam, że mam takiego przyjaciela, który posiada ukryte zdolności i tylko ja o tym wiem. Pomyślałam, że możemy uratować cały świat.

Szybko wróciliśmy do domu. Próbowaliśmy zrobić to tak dyskretnie, aby rodzicie nic nie zauważyli. Nagle jednak usłyszałam zdenerwowany głos mamy:

- W końcu jesteście! Gdzie byliście?!

Niestety nie udało nam się ukryć naszego wyjścia.

- Bardzo się martwiliśmy – powiedział tata.

- Lucky piszczał, więc poszłam z nim na spacer – skłamałam, nie chcąc, by rodzice poznali prawdę.

- Dobrze – usłyszałam już spokojniejszy głos mamy. Ale pamiętaj, nigdy nie wychodź wieczorem sama z domu, dobrze?

- Przepraszam, już więcej tak nie zrobię – odpowiedziałam.

Wskoczyłam do łóżka i zmęczona przeżyciami zasnęłam.

Następnego dnia, gdy jadłam śniadanie, moi rodzice dostali wiadomość, że z powodu pandemii szkoła została zamknięta i za dwa dni zaczynają się lekcje on-line. Zmartwiłam się, lecz po chwili pomyślałam, że może nie będzie tak źle. Będzie ze mną Lucky i doda mi otuchy, kiedy nie będę widziała się z kolegami i koleżankami. Dni płynęły wolno, ale i tak nie było nudno. Uczyłam mojego pupila różnych sztuczek oraz wspólnie się bawiliśmy.

Pewnego dnia, gdy wyszłam z moim pupilkiem na spacer, za bramką osiedla, tuż przy strumyku, zobaczyliśmy coś dużego i poruszającego się. Podeszliśmy tam, ale niestety brama była zamknięta, a ja nie miałam do niej klucza.

- Co robimy? – spytałam Lucky'ego.

- Wiem! – mój przyjaciel znowu przemówił ludzkim głosem.

Lucky wystawił łapę i szybko znaleźliśmy się pod drugiej stronie bramy.

Nagle ujrzeliśmy fioletowy wir, a z niego wyleciała straszna postać. Przestraszyłam się. Pomyślałam, że to zła czarownica, która zaczarowała dzieci podczas pierwszej nocy Lucky'ego w naszym domu.

- Ha, ha, ha, mam was – usłyszeliśmy.

Nagle zobaczyłam szklaną kulę, w której był Lucky. To była sprawka strasznej wiedźmy. Bardzo się zmartwiłam i zaczęłam wołać pomocy. Podbiegła jakaś kobieta i zapytała, co się stało. Wskazałam palcem na kulę, w której był mój malutki piesek. Pani, tak jak ja, bardzo kochała zwierzęta i nie mogła patrzeć, jak cierpią i są w niebezpieczeństwie. Nieznajoma nie umiała mi pomóc. Po chwili kula pękła i wyłonił się mój Lucky.

- Tak się martwiłam, mój przyjacielu. Nic ci nie jest? – zapytałam.

- Nie – odparł i zamerdał wesoło ogonkiem.

Byliśmy pod wielkim wrażeniem, że Lucky wyszedł cały i zdrowy z tej sytuacji. Okazało się, że to moje oddanie, miłość i lęk o przyjaciela sprawiło, że pokonaliśmy złą czarownicę, która zniknęła w fioletowym wirze.

## **Wyróżnienie**

### **Zuzanna Zoja Antas**

Szkoła Podstawowa im. J. i M. Moraczewskich  
Sulejówek

## ***Pies z nieba rodem***

Moja siostra zawsze miała delikatną obsesję na punkcie psów. Delikatną? Dobry żart. Błagała rodziców o psa na kolanach. Zajęło im kilka lat, by się zgodzić, to prawda.

Na początku postanowiliśmy przyjąć do naszej rodziny świnkę morską. Moja koleżanka, z którą chodziłam do przedszkola, miała całą rodzinę do adopcji. Świnek, oczywiście, nie swoją. Pewnie swoją miała ochotę wystawić na aukcji internetowej, kiedy tylko weszła w wiek nastoletni. Cóż, nieważne.

Świnka morska była wyjątkowo opasła, z małą rozetką na głowie. Miał, bo to samiec, ciemne oczy i ciało pokryte biało-czarno-rudymi plamami. Widziałam, jak mój starszy brat zapalał

do niego nieskończoną miłością. Trzymał go w dłoniach, gdy nasi rodzice rozprawiali o sprawach opieki nad zwierzęciem.

Gdy świnka przetrwała podróż do domu, a później kilka kolejnych lat życia z moją szaloną rodziną, siostra ponownie zaczęła prosić o psa. Wymówką rodziców było niebezpieczeństwo dla naszego zwierzątka (które swojego imienia nigdy nie dostało – nazywaliśmy go głównie Prosiaczkiem lub Naleśnikiem, z uwagi na jego kształt, gdy rozpląszczał się podczas głaskania). W końcu nasza przyjaciółka, której marzeniem było posiadanie psa, a jednak jej tata miał alergię, przyszła do nas i przez niemal godzinę namawiała naszą mamę do wzięcia psa ze schroniska. Chyba uważała, że też będzie mieć z tego korzyść. Podczas rozmowy wraz z siostrą czyściliśmy dla niej grosika na szczęście (więcej nie miałyśmy – nie, żeby coś się zmieniło). Był naprawdę wypolerowany, gdy nasza rodzicielka poinformowała nas, że jeszcze się zastanowi.

W końcu rodzice zgodzili się na psa. Pojechaliśmy do schroniska. Z uwagi na nieco dziwne pasje naszej rodziny, czyli kąpiel w krzakach i w bieszczadzkim błocie, inaczej nazywaną chodzeniem po górach, mieliśmy kilka wymagań. Pies miał być wystarczająco wytrzymały, by wspinać się cały dzień, oraz dobrze znosić podróże. Musiał też szczekać niskim głosem. Nasi sąsiedzi mają psa, którego moja babcia nazywa taborettem, podobno z powodu piskliwości jego głosu. Nigdy nie rozumiałam porównania, ale może u niej taborety szczekają.

Po kilku latach przyznaję, że wymagania nie były takie ważne. Zauroczył nas sposób, w jaki nasz pies wystawiał łapkę przez kraty, prosząc o głaskanie go.

Daffi - tak nazwano go w schronisku, a członkowie mojej rodziny nie mogli dojść do porozumienia w sprawie wyboru nowego imienia - prawie w ogóle nie szczeka. To zapewne najspokojniejszy pies na świecie. W dodatku daje się głaskać każdemu (nieco naiwny, no nie?) i boi się innych psów. Nadal jest uroczy, ale troszkę niezdarzy i pocieszny.

Ma swoje miejsce w hierarchii, jak dostojnik, z którego lud czasem się naśmiewa. Kiedy chodziliśmy w góry, pakowaliśmy do plecaków: osobną karimatę, żeby mu było wygodnie spać, jedzenie i wodę specjalnie dla niego, a do tego szmatki, którymi

wycieraliśmy mu łapy, by nie pobrudził śpiworów. Swoją drogą przekonałam się, jak niewygodny może być pies w namiocie, kiedy i tak próbujecie zmieścić się w nim w pięć osób zamiast w cztery, w dodatku z plecakami.

Na spacerach po lesie Daffi trzyma się blisko przy nodze. Kiedy wydaje nam się, że zniknął, i rozglądamy się po lesie, on znajduje się tuż koło nas, jakby sam się bał, że się zgubi. Może następnym razem pożyczylibyśmy mu mapę, ale już nie wyjeżdża z nami.

To zdarzyło się chyba dwa lata temu, gdy Daffi wybrał się z częścią rodziny na wakacje. Ktoregoś razu mama z ciotką poszły popływać w jeziorze, zostawiając go przywiązanego do płotu (w tamtych czasach jeszcze chciało mu się biegać). Przez dziurę w owym płocie wybiegły dwa wielkie owczarki kaukaskie. Został pogryziony i do dziś ma problemy ze stawami biodrowymi. Od tego czasu nie umie sam chodzić po schodach i zawsze czeka, aż go zaniemiemy na rękach. Czasem zdarza mu się nawet spaść z krawężnika.

Jeśli wybieramy się gdzieś, gdzie byłoby mu zbyt trudno chodzić, zawsze znajdujemy miejsce, by go zostawić - z przyjaciółmi czy z rodziną. Bierzymy go tam, gdzie może sobie poleżeć, na przykład nad jeziora, chociaż wody też się boi (nie, żeby to było zaskakujące, jeśli boi się praktycznie wszystkiego).

Nigdy nie wiedzieliśmy, co myśleć o stosunku psa do świnki morskiej. Miałam skojarzenia ze stalkerem i jego ofiarą. Daffi przesiadywał przy klatce i wpatrywał się w gryzonia. Nie wyjmowaliśmy Prosiaczka przy nim za często. Wolę nie wiedzieć, co mogłoby się stać, skoro tak błyszczwały mu oczy, gdy świnka leżała w domku bez ruchu.

Pewnego dnia z Prosiaczkiem zaczęło się dziać coś niedobrego. Okazało się, że zachorował na serce. Przez miesiąc podawaliśmy mu do pyszczka płynne jedzenie i pomagaliśmy pić. Widzieliśmy, że to dla niego męczarnie. Wciąż pamiętam, jak mama jechała go uśpić. Udawałam wtedy niewzruszoną, a moja siostra, myśląc, że się nie przejmuję, nakrzyczała na mnie. Tak naprawdę wszyscy to przeżyliśmy.

Teraz Daffi śpi spokojnie na posłaniu w pokoju, a świnka, mam nadzieję, równie spokojnie, chociaż innym snem.

## **Krzysztof Marczyński**

Szkoła Podstawowa Specjalna nr 167

Warszawa

### ***Wielka przyjaźń***

Podczas mojego pierwszego wyjazdu w góry tata postanowił zrobić mi prezent - dostałem od niego zwierzątko... Zaraz wszystko wyjaśnię.

To był królik, który nie miał jeszcze imienia, więc zastanawiałem się, jak go nazwać. Wybrałem imię Rumcajs. Rumcajs był na początku niewielkim króliczkiem, aż do czasu, gdy skończył 3 lata. Wtedy nie mieścił mi się już w ręce, tylko wyrósł i stał się dorosłym, poważnym królikiem. Postanowiłem zakupić specjalną smycz i zacząłem go wyprowadzać na podwórko, gdzie kicał sobie po trawie, a po kilku miesiącach zacząłem z nim chodzić już do parku. Po jakimś czasie mój królik zaczął mniej się ze mną bawić. Pewnie pomyślicie, że to wiek, ale serce mi podpowiadało, że muszę się przyjrzeć Rumcajsowi. Gdy go obserwowałem, miałem wrażenie, że on jest smutny. Pomyślałem wtedy, żeby może zmienić sposób zabawy z Rumcajsem, i trochę to pomogło. Zacząłem się z nim bawić na inne sposoby i to podziałało. Mój królik zaczął się znowu bawić, był pełen energii, byłem bardzo zadowolony z tego. Cztery lata spędziliśmy, poznając się, bawiąc się. Teraz Rumcajs jest starszy, mniej się rusza, mało biega, ale dużo je i pije. Troszczę się o niego najbardziej jak umiem.

Króliki żyją średnio 9 lat, a mój ma już 9. Bałem się tego roku życia. Zapytacie: „Jak to ma 9 lat, jak według tego, co pisałem, ma 7 lat?!” Jednak, zanim go dostałem od taty, miał już 2 lata.

Mój królik nauczył mnie cierpliwości, troskliwości i miłości do zwierząt. Zwierzęta potrafią ukoić, gdy jest się smutnym, pocieszyć, wesprzeć. Takie przyjaźnie pamięta się przez całe życie.

## **Patryk Kozłowski**

Szkoła Podstawowa Specjalna nr 167

Warszawa

### ***O przyjaźni z moim zwierzakiem***

Mój pies nazywa się Kapsel. Jest kundelkiem, chociaż mama mówi, że to rasa europejska. Jest psem średniego wzrostu i sięga mi do kolan. Sierść ma koloru rudobrazowego, więc czasem wołam do niego: Rudy. Ma oklapnięte uszy i długi ogon. Swoim zachowaniem przypomina nam kota, bo bardzo lubi kręcić ósemki pod kolanami i wygrzewać się na słońcu. Poznałem go w sierpniu 2018 r., gdy spędzałem wakacje na wsi u babci. Było to tak.

Pewnego sierpniowego popołudnia, razem z Babcią, wybrałem się na spacer do zaprzyjaźnionego gospodarstwa agroturystycznego. Celem naszej wyprawy był zakup ogórków, ziemniaków, marchewki oraz mleka prosto od krowy. Nie spodziewałem się, że poznam tam prawdziwego przyjaciela.

Kiedy Babcia rozmawiała z Panią, która przygotowywała nam wałówkę, zainteresowała mnie buda, do której przywiązane były dwa szczeniaki. Jeden miał czerwoną obrozę, a drugi zieloną. Pani właścicielka pozwoliła mi się pobawić z nimi, jednocześnie śmiejąc się do Babci serdecznie powiedziała, że mogę nawet jednego zabrać ze sobą.

Całą powrotną drogę mówiłem babci, jak fajnie byłoby mieć psa, jak będę się nim zajmował – karmił i wychodził na spacer. Babcia poinformowała mnie, że nie może mi na to pozwolić, bo zgodę muszą wyrazić rodzice, ale będzie mnie wspierała w tym pomysle. Dzwoniłem do rodziców – mama była bardziej przychylna mojemu pomysłowi, ale poinformowała mnie od razu, z czym się to będzie wiązało i że nie może być to tylko chwilowa zachcianka, a tata nie chciał się zgodzić.

Kapsla (tak nazwałem już psa) odwiedzałem cały tydzień, aż do przyjazdu rodziców, którzy mieli mnie zabrać do domu, bo niedługo zaczynała się szkoła. Bawiłem się z nim, biegałem, uczyłem aportować kijek i piłkę. Wychodziło mu to bardzo nieporadnie, bo był ogromną kulką na czterech krótkich łapkach

z ogromnymi uszami. Często się wywracał i swoim mokrym nosem rył w piasku.

Po przyjeździe rodziców Babcia poprosiła tatę, by przywiózł od Pani z gospodarstwa agroturystycznego zamówione ogórki. Porozumiewawczo mrugnęła do Mamy, która tylko się uśmiechnęła, zawołała mnie i wsiedliśmy do samochodu.

Jakież było moje zdumienie, gdy mama powiedziała mi w samochodzie, że oprócz ogórków weźmiemy ze sobą psa. Z radości aż podskoczyłem tak, że zdawało mi się, że dotknąłem głową dachu samochodu. Z samochodu wystartowałem do Kapsła z prędkością światła. Uściskałem go i założyłem nową obrózkę, szelki oraz smycz.

Gdy dojechaliśmy na działkę, czekała tam na nas babcia. Bardzo się ucieszyła. Kapsel był tak zmęczony podróżą, że zasnął na chwilę na trawie. Później wstał, doczłapał się do taty i usiadł przed nim. Tata wziął go na ręce i położył na brzuchu. Popatrzył na niego i uśmiechnął się mówiąc do nas:

- Ja już widzę te wasze poranne spacerunki. Popatrzeliśmy na siebie z mamą porozumiewawczo i wybuchnęliśmy śmiechem.

Od tego momentu minęły 4 lata. Kocham mojego psa. Mogę powiedzieć, że jest moim przyjacielem. Zawsze z rana, jak wstaję, wita mnie z radością, tak samo cieszy się, jak wracam ze szkoły. Kiedy jest mi smutno, przytula się do mnie, wchodzi na kolana i patrzy na mnie, jakby mnie rozumiał. A jeżeli chodzi o poranne spacerunki... to przyznaję, jest ciężko.

## **Zuzanna Zoja Antas**

Szkoła Podstawowa im. J. i M. Moraczewskich  
Sulejówek

### ***Długa historia***

Laura miała pięć lat, gdy pierwszy raz zobaczyła dziką. Było to na polanie, w lasku opodal jej domu.

Był majestatyczny. Był piękny. Widziała jego wielkie, przybrudzone białe kły i brązową sierść. Miał chłodne spojrzenie, oczy w kolorze hebanu. Stała za drzewem, aż usłyszała głos swojego ojca. Wołał ją do domu. Po raz ostatni spojrzała na dziką,



a ten stał kilkanaście metrów od niej jak potężny książę lasu. Pobiegła z uśmiechem na twarzy.

Gdy miała dziesięć lat, wybrała się na wycieczkę rowerową. Cały dzień była podekscytowana, a gdy wjechali do lasu, postanowiła zrobić coś szalonego. Wyprostowała się, obejrzała na czerwony rower brata, a później przyspieszyła gwałtownie. Krzyczała głośno, wdychała zimny wiatr w płuca i uśmiechała się szeroko.

Wtedy, nieuważna, wpadła w drzewo. Poczula ból, przenikający ją do szpiku kości. Spadła z roweru, a jej bluzka w kolorach słonecznego nieba była teraz brudna i brązowa od błota. Rozpląkała się, siedząc samotnie na ziemi.

Wtedy zobaczyła dzika po raz drugi. Był kilka metrów od niej, jakby wyjrzał zza krzaków zaniepokojony krzykami, a zamiast ucieczki zdecydował się zbliżyć do tego małego, głośnego stworzenia, jakim była Laura. To była ta sama polana, jak zauważyła.

Jej serce stanęło z przerażenia. Słyszała głosy zbliżającej się rodziny, ale widziała tylko zwierzę przed sobą. Dzik miał w sobie jakąś wewnętrzną mądrość.

- Co ty wyprawiasz, Lauro?! Już nigdy, nigdy nie pójdziesz... - jej mama wybiegła zza drzew, ale na widok dzika zatrzymała się gwałtownie, przerażona.

- Mamo? – wyszeptła dziewczynka. Łzy, które wylewała, zniknęły chwilę wcześniej, gdy pojawił się dzik. – Wszystko dobrze.

Dzik rzucił się do ucieczki, a Laura podążyła za nim wzrokiem, cicho szepcząc słowa pożegnania. Złamała wtedy nogę. Jej rodzice obwiniali zwierzę.

Laura skończyła piętnaście lat. Rodzice puścili ją na imprezę, organizowaną dla niej przez koleżanki. Wybiegła z domu chwilę przed jej rozpoczęciem, a po drodze przeklinała cicho, że spóźni się na własne urodziny. Szła szybko przez las, ale chciała odwiedzić ulubioną polankę, odetchnąć świeżym powietrzem.

Nagle na jej drodze ktoś stanął. Z daleka zobaczyła lochę z małymi warchlakami, jak zagubione dzieci przytulonymi do jej boku. Gdy samica spojrzała na nią, dziewczyna przez chwilę widziała w oczach zwierzęcia spokój i radość, jednak zaraz

zasnuły się czarną chmurą. Locha pogoniła warchlaki do ucieczki w las. Wtedy Laura poczuła niepokój, wewnętrzny strach o przyszłe życie tych zwierząt.

Minęło dziesięć lat. Życie mknęło jak na skrzydłach.

Maria. Tak nazwała swoją córkę. Dziewczynka miała niebieskie oczy po babci, a także włosy Laury – ciemne, niemal czarne. Twarz miała od dziecka bladą, pokrytą piegami, których z roku na rok przybywało.

Laura wybrała się z Marią do lasu, na polanę. Po kilku minutach córka przewróciła się w błoto i pobrudziła sobie szelki. Zirytowana matka westchnęła głośno i wtedy się zaczęło.

Usłyszały strzały. Maria zaczęła szlochać. Tuż przed ich nosem, po zielonej polanie, przebiegł dzik. Biegł w panice, szybko. Oczy miał wypełnione strachem. Uderzyło to w Laurę z mocą. Złapała Marię za rękę.

- Mamo? – wykrztusiła cicho dziewczynka, a Laura zamarła, ogarnięta wspomnieniami z przeszłości. – Kto to robi? Mamo, on był przestraszony! – szeptała Maria o zwierzęciu jak o człowieku. Laura stała w ciszy, bijąc się z myślami, podczas gdy jej córka chodziła powoli po polanie. Czuła, jak jej ramiona napięły się, a w ustach zrobiło się sucho z wściekłości.

- Nie wiem, kochanie – powiedziała. – Ale naszą rolą jest sprawić, by przestali.

Skończyła trzydzieści lat. Zmarnowała rok, codziennie wybierając się do lasu na poszukiwania kłusowników, codziennie próbując ratować dziki. Rutynowo odwiedzała polanę. Widywała dziki opętane strachem. Bolało ją to.

Wyszła na spacer w Wigilię Bożego Narodzenia. Usiadła zmęczona przy znajomym drzewie i czekała. Minęła godzina. Dwie. Trzy.

O północy, gdy wracała do domu, dotarło do niej, że nie zobaczyła ani jednego dzika. Potknęła się, zadrżały jej ramiona, jakby wieloletni cel zniknął za zakrętem. Wtedy usłyszała ciche szuranie, a jej oczom ukazał się wielki, majestatyczny dzik, jak ten, którego zobaczyła niegdyś. Gdzieś głęboko w jego oczach odnalazła spokój.

- Cholera – westchnęła cicho. – No już, już – powstrzymała uśmiech. – Masz rację. Będę o was walczyć.



Kategoria 13-15 lat

I miejsce *Pozwól mi żyć* - Zofia Kusak Szkoła Podstawowa nr 48 im. Adama Próchnika w Warszawie



Kategoria 10-12 lat

I miejsce *Stop tresurze zwierząt!* – Lena Grzywacz Społeczna Szkoła Podstawowa nr 16 STO w Warszawie.





Kategoria 10-12 lat

I miejsce *NIE!* Eksperymentem medycznym na zwierzętach – Katarzyna Dębska Społeczna Szkoła Podstawowa nr 16 STO w Warszawie.



Kategoria 10-12 lat

II miejsce *Psijaźń* – Katarzyna Kusak Szkoła Podstawowa nr 48 im. Adama Próchnika w Warszawie.



Kategoria 10-12 lat

III miejsce *Wśród najmiłszych przyjaciół* - Hanna Sieńska Społeczna Szkoła Podstawowa nr 16 STO w Warszawie.





Kategoria 13-15 lat

III miejsce *To mój przyjaciel, uszanuj go!* - Oliwier Załuski Społeczna Szkoła Podstawowa nr 10 im. kardynała Stefana Wyszyńskiego w Warszawie.





Kategoria 10-12 lat

III miejsce *Człowieku nie bądź zwierzęciem!* - Amelia Załuska Społeczna  
Szkoła Podstawowa nr 10 im. kardynała Stefana Wyszyńskiego w Warszawie.



*Świat, który nie może zginąć (inspirowane kształtem przedmiotów)*  
Ada Dobrzyńska  
Społeczna Szkoła Podstawowa nr 16 STO w Warszawie.





*Świat, który nie może zaginąć (inspirowane kształtem przedmiotów)*  
Gabriela Wybranowska  
Społeczna Szkoła Podstawowa nr 16 STO w Warszawie.



*Świat, który nie może zaginąć (inspirowane kształtem przedmiotów)*

Kłara Bednarek

Spółeczna Szkoła Podstawowa nr 16 STO w Warszawie.





*Lucky i Fioletowy Wir* Pola Borkowska  
Szkoła Podstawowa nr 307 im. króla Jana III Sobieskiego w Warszawie.



*Zwierzę czuje. To nie jedzenie!* Stanisław Nowacki  
Szkoła Podstawowa nr 48 im. Adama Próchnika w Warszawie